

TEATR DLA WSZYSTKICH

Nr. 3.

Komedya o człowieku, który redagował gazetę rolniczą

Żart sceniczny w dwóch aktach

Z NOWELI MARKA TWAINA
PRZEROBIŁ G. TIMMORY
PRZEKŁAD J. NOWICKIEGO.



LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO,

Zbiory specjalne

OSOBY:

WYDAWCA „Ziemianina Chicagońskiego”.
ARTUR HOENFIELD.
SĂM BROOCKNER.
DŁUGOLETNI ABONENT.
CZŁOWIEK Z OKROPNYM ZAROSTEM.
JESSIE, panna pisząca na maszynie.
BOB, służący redakcyjny.
PETERSEN, księgarz.

Rzecz dzieje się współcześnie w Chicago.

KIEROWNIK LITERACKI: HENRYK CEPNIK.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0473900

Z Drukarni „Pośpiesznej” Lwów, Chorażczyzna 23.

K-140/46/69500

AKT I. Biuro redakcyi. Wchód w głębi przez drzwi prowadzące na korytarz. Z lewej drzwi do pokoiku Jessie. Na dalszym planie szafa wgłębiona w ścianę, z prawej okno, przed niem, prawie równoległe z rampą, biurko wydawcy. Na biurku stosy papierów, ksiąg, aparat telefoniczny i dzwonek (taster). Przed biurkiem fotel, obok niego z lewej strony krzesło. — Przy drzwiach wchodowych w głębi, po prawej ich stronie, oparte o ścianę szerokie karło, wybite skórą. Dalszą część ściany zajmuje potężny regał na książki. Po lewej stronie drzwi wchodowych krzesło. Na przodzie z lewej, na drugim planie, ukośnie do rampy, stoliczek, przy nim dwa krzesła.

SCENA PIERWSZA. **Wydawca** (*siedzi przy*
WYDAWCA — **JESSIE** *biurku i dyktuje*). Podane
potem **BOB**. powyżej sposoby przyczy-

nają się znakomicie do
uchronienia starych jarzyn od zepsucia.

Jessie (która, stojąc, stenografowała na bloczku
papieru, powtarza ostatni wyraz). Zepsucia.

Wydawca (*i. w.*) W praktyce jednak zalecam
jak najusilniej używania wyłącznie jarzyn świeżych.
Jessie (*j. w.*) Świeżych.

Wydawca. Z konserwów zaś jedynie te, co do
których istnieje niezbita pewność. (*Silny alarm dzwon-*
kowy przy telefonie. Wydawca bierze słuchawkę) Hallo!...
Redakcyja „Ziemianina”... Tak, wydawca... Uszano-
wanie panu... Czego pan nje otrzymał?... Aha, ostat-
niego numeru... Adres pański? Smyk? Szyk?... Aha,
Smith, ulica siódma numer 6,844, dziewiętnaste pię-
tro... Złatwione — natychmiast pan otrzyma numer!
(*Odkłada słuchawkę, pociska taster dzwonka elektrycz-*
negu — cisza). Gdzie ten Bob siedzi? (*dzwoni drugi*
raz, trzeci, nareszcie ryczy z niecierpliwości) Bob!

Bob (*wchodząc*). Słucham.

Wydawca. Czego mlaskasz ozorem, nicponiu? Ciagle przezuwasz? Co masz w ustach?

Bob. Prymkę!

Wydawca. Ja ci dam prymkę! W tej chwili wypluj! (*ruch niechęci Boba*) Słyszałeś?! (*j.w.*) Gdzie kij? (*Bob wyjmując czempredziej prymkę z ust i kładzie ją mruczając pod nosem, na stoliczku z lewej. Redaktor mu daje adres Smitha*). Zaniesiesz natychmiast ostatni numer pod tym adresem. Marsz!

Bob. All right!

Wydawca. Zaledwie czterystu abonentów posiada nasze pismo, a zażaleń codziennie tyle, jakby ich było co najmniej 40.000. — Na czym skończyliśmy?

Jessie. (*czyta stenogram*). Z konserwów zaś jedynie, co do których istnieje niezbita pewność...

Wydawca. (*Dyktując*)... Że nawet w przeciągu szeregu lat... (*nowy alarm przy telefonie*). Znowu?... Skaranie boskie! (*Do aparatu*). Aha, drukarnia! Właśnie kończymy ostatni artykuł. Za minutkę go dostaniecie! (*Do Jessie*). Więc...

Jessie. (*czyta*)... że nawet w przeciągu szeregu lat nie ulegają kielkowaniu.

Bob. (*wpada*). Depesza! Kładzie ją na biurku. W chwili, kiedy wydawca zagłębił się w czytaniu depeszy, Bob skrada się na palcach do stoliczka z lewej, chwyta łapczywie prymkę, wkłada do ust i odchodzi z tryumfem, wygrywając na nosie w stronę wydawcy).

Wydawca. (*przeczytawszy*). Masz dyable kaftan! odwołuje inserat! A to łajdak, wyrzywa mi z garści pięć tysięcy dolarów, jak obszył!... Fatalne, fatalne!... I co tu począć?... Ha, trudno, rozerwać się nie mogę!... Sam wszystkiemu nie podołam! Numer, inseraty artykuł, korekta! Trudno, trudno... Na dobitkę i pani

mnie opuszcza na siedem dni. Czy to konieczne, panno Jessie?

Jessie. Nieodwołalnie. Za godzinę odchodzi mój pociąg.

Wydawca. Okropne! I kto tymczasem będzie pisał na maszynie? A niech pisze dyabeł kusym ognem — wszystko mi jedno!... Na czym stanęliśmy?

Jessie. (*czyta*). Z konserwów zaś jedynie te, co do których istnieje niezbita pewność, że nawet w przeciągu szeregu lat nie ulegają kielkowaniu...

Wydawca. (*kończąc dyktat*)... gdyż ze spożycia jarzyn kielkujących wynika najczęściej poważna szkoda dla zdrowia... Punktem, basta. Dostyc na dzisiaj! Proszę to odbić na maszynie i odesłać przez Boba do drukarni. Potem — jedź pani w Imię Boże!

Jessie. Dziękuję uprzejmie! (*zwraca się ku wyjściu*).

Wydawca. (*wstając*). Chętniebym poszedł w ślady pani i wyjechał gdzie na tydzień wypocząć, odetchnąć pełną piersią, ale to niepodobieństwo — przykuty jestem jak wół do jarzma. Wszystko na moich barkach: redakcja, anonse, ekspedycja, korespondencya, publiczność — cały mechanizm, cała zawila kombinacya interesów na jednej lichej głowie! I jak się tu dziwić, że abonament kuleje, a gazetę niezadługo dyabli wezmą.

Jessie. W kołach ziemiańskich czytają ją z wielkiem zainteresowaniem.

Wydawca. Czytają, ale nie abonują! Dziewięćdziesięciu dziewięciu czyta jeden i ten sam egzemplarz, a w redakcyi piętą się góry nakładów, pleśniejąc w oczekiwaniu zbytu! Śliczny los! I pomyśleć, że tak się kaparzy już dwudziesty rok! Dwadzieścia lat pracy, wysiłków, szamotania — a w końcu figa!

Taki jestem wyczerpany, tak przybity moralnie, że sił poprostu nie czuję, pracować mi się nie chce... Ach, dwóch zdolnych współpracowników — i byłbym ocalony! Gdyby bodaj jaki porządny służący i obrotny sekretarz redakcyjny!

Jessie. Może po wczorajszym pańskim ogłoszeniu zjawi się kto dzisiaj...

Wydawca. Może — byle się zjawił kto odpowiedni... Służącym się nie kłopotę, mniejsza o niego, ale sekretarz! Tu potrzeba człowieka, który coś umie i radby się oddać swemu zawodowi z całym umiłowaniem. O, w tem sęk!

Bob (*wchodzi, podając kartę wizytową*). Tam przyszedł jakiś pan względem wczorajszego anonsu.

Wydawca (*czyta*). „Artur Hoenfield“?... Proś! (*Do Jessie*). Do widzenia i szczęśliwej podróży, panno Jessie!

Jessie. Dziękuję panu redaktorowi!

Bob (*wprowadzając Artura*). Proszę pana! (*wychodzi*).

SCENA DRUGA. (*Artur ubrany czarno, ale nie elegancko. W ruchach niezgrabny. Dziwnie nieśmiały*)
WYDAWCA, ARTUR.

Wydawca. Czem mogę służyć?

Artur. Słyszałem, że tu wakuje posada sekretarza redakcyjnego.

Wydawca. Owszem. Pan kompetuje o nią?

Artur. Tak, chciałbym ją objąć.

Wydawca. Czy pan obznajomiony ze sprawami ziemianstwa?... Słyszałeś pan co kiedy o kulturze ziemi?

Artur. Ukończyłem akademię rolniczą w Campton w Kanadzie.

Wydawca. Ach, prześlicznie!

Artur. Prócz tego studyowałem mleczarstwo na uniwersytecie w Saint-Hyacinth.

Wydawca. Cudownie.

Artur. Ponadto słuchałem wykładów pomologicznych w szkole warzywnictwa we Francji.

Wydawca. A może masz pan na to jakie dowody, świadectwa, albo dyplomy?

Artur. Bez wątpienia. *Wyciągaając z zanadru plik przeogromnych pergaminów*). Oto są.

Wydawca (*przełądnąwszy wszystkie po kolei*). Ho, ho, z pana — jak widać — nielada uczony! (*zaprasza go uprzejmem skinieniem głowy, ażeby usiadł*).

Artur (*skromnie*). Uczony — nie, raczej pilny uczeń.

Wydawca. A pracowałeś pan kiedy w dziennikarstwie?

Artur. Niestety — nie.

Wydawca. Nic nie szkodzi. Przy swoich wiadomościach wyrobisz się pan prędko. Taki współpracownik, jak pan, może mi oddać nieocenione usługi. Zna pan mój tygodnik?

Artur. Właściwie z nazwiska tylko. Ale zanim odważyłem się tu przyjść, przestudyowałem na prędce parę numerów.

Wydawca (*przyjemnie dotknięty*). I jakżeż się panu podoba pismo?

Artur. Ciekawe... śmiało można rzec, ciekawe!

Wydawca. Z miny pańskiej wnoszę, że pan niebardzo zachwycony kierunkiem...

Artur. Ależ przeciwnie... owszem — ja bardzo..

Wydawca. Nie, nie, pan masz pismu niejedno do zarzucenia, tylko pan nie śmie powiedzieć tego otwarcie.

Artur. Ależ zapewniam..

Wydawca. Pańskie oczy mówią za pana! A więc jazda — gadaj pan bez osłonek. Nie posądzasz mnie pan przecież o tyle głupoty, ażebym miał się obrażać o krytykę rzeczową. Przeciwnie, wdzięczny będę za nią i chętnie zastosuję się do wszystkich uwag, które uznam za słuszne. A więc, słucham. — No, nie bądźże pan dzieckiem! Dla dobra pisma proszę pana.

Artur. To co innego — te słowa wkładają na mnie obowiązek mówienia. A więc przedewszystkiem pańskie pismo nie jest oparte na podstawach naukowych.

Wydawca. Jakto? Nie na naukowych?

Artur. Niektóre kwestye są omawiane bez należytego opracowania, wprost dorywczo...

Wydawca (*przerywając*). Ach dla przeciętnej publiczności.

Artur. Może wystarczyć. Bez wątpienia. Ale pismo mające aspiracye wyższe, powinno traktować wszystko gruntownie, ściśle! Dlatego uważam za naganne w pańskim piśmie pewne błędy.

Wydawca. Błędy?

Artur. Tak błędy. Weźmy na przykład pańską statystykę przywozu zboża. Z gruntu fałszywa!

Wydawca. Jakto fałszywa?

Artur. Różni się o 2 kilogramy i trzydzieści siedem dkg. od urzędowego sprawozdania.

Wydawca. Bagatelka! Wspominać nie warto!

Artur. Bagatelka, ale rzuca niepoehlebne światło

na ścisłość naukową pańskiego organu. A tych bagatelek w piśmie sporo.

Wydawca. Co pan mówi?

Artur (*bardzo surowo i poważnie*). W przedostatnim numerze poleca pan na katar kaczek środek, na którym nauka od wieków przeszła do porządku dziennego.

Wydawca. Środek okazał się zbawiennym!

Artur (*z niewzruszoną pewnością, apodyktycznie*). Wykluczone!

Wydawca. Mój panie!

Artur. Środek, potępiony przez naukę, nie może być nigdy zbawiennym! Może pomódz jednej kaczcze, ale ogół kaczek narazi na zgubę! Jeżeli zwracam na to uwagę pańską, to tylko dlatego, że radbym wyeliminować z pańskiego pisma błędy, które tam być nie powinny.

Wydawca (*podrażniony*). Pan nazbyt uprzejmy.

Artur. Następnie radbym w redakcyi pisma poczynić pewne zmiany.

Wydawca. Zmiany?

Artur. Tak, daleko idące zmiany... zasadnicze zmiany.

Wydawca. Za-sa-dni-cze zmiany?

Artur (*skrótnie, ale z niezbitą pewnością*). Zmiany są konieczne, o ile pismo ma istnieć dalej.

Wydawca (*wybuchając*). Czyś pan zwaryował?! Uważasz mnie za idyotę, który nie ma pojęcia o redagowaniu pisma?

Artur. Tego nie powiedziałem.

Wydawca. Ale pan tak myślisz! (*zrywa się z krzesła i lata tam i z powrotem*). Od kwadransa męczy mnie ten człowiek swoją prelekcyą i śmie mi dawać

lekcye w tonie profesorskim! To pan się ucz! Pan nie masz wychowania!... Pyszałek nadęty!... Sądzi, że wszystkie rozumy posiada, bo ma dyplomy i świadectwa! Mój panie, i jabym mógł mieć dyplomy, gdybym tylko chciał! Tuziny dyplomów! Niema z czego być dumnym! Skończyło to uniwersytet, akademię mleczarską i chce mnie imponować! A dziennik arstwa pan się uczyłeś?! — Nie? — A krytykować pan chcesz... A zmiany zaprowadzać pan chcesz!...

Artur. Przepraszam, ja nie chciałem...

Wydawca. Cicho pan bądź! Dość mam pańskiej gadaniny! Mnie pan nie przegadasz. O, nie zaimponujesz mi pan także — nie, nie, drogi przyjacielu, **za dużo mam doświadczenia**. Zmiany! Proszę ja kogo, zmiany! Pan sobie zmieniaj krawatki i koszule, a stąd mi się pan wynoś razem z dyplomami!

Artur (*wstając*). Dobrze. Moje uszanowanie! (*przy drzwiach zatrzymuje się nieśmiało*). To jest... gdyby pan zechciał...

Wydawca (*zatrzymując się*). Czego znowu?!...

Artur. Jestem bez posady. Położenie moje wprost rozpaczliwe.

Wydawca. Cierpisz pan nędzę?

Artur. Nie mam co do ust włożyć.

Wydawca. Hm... hm... żal mi pana. Nie znasz się na dziennikarstwie, ale to jeszcze nie powód, abyś ginał z głodu. Wiesz pan co? Potrzebuję służącego. Dam panu tę posadę.

Artur. Przyjmuję z wdzięcznością!

Wydawca. Ale pamiętaj pan, jedna uwaga, jedna krytyka dotycząca mojego pisma, a wylecisz pan bez pardonu! Zgoda?

Artur. Zgoda!

Wydawca (*uprzejmie*). A więc kochany przyjacielu, do pracy. Miotłę i polewaczkę znajdziesz pan w szafie (*Bierze kapelusz z jednej z półek bibliotecznych*). Idę do baru zjeść śniadanie. Za chwilę wracam. Pan tymczasem pozamiataj tutaj! A pamiętaj — język na uwięził! (*wychodzi*).

SCENA TRZECIA

ARTUR, *po chwili* SAM
BROOCKNER.

Artur (*zamiatając niezgrabnie*). Ładne zajęcie dla doktora filozofii. (*Pukanie do drzwi*) Proszę.

Säm (*wchodzi; cechuje go szalona pewność siebie i niebywata nonszalancya*). Szukam wydawcy „Ziemiańina Chicagowskiego“.

Artur. Wyszedł — za chwilę powróci.

Säm. Tak? Poczekam. (*Siada na krześle przy biurku i spogląda z zaciekawieniem na nieporządne zamiatanie Artura*). To pański wynalazek, ten sposób zamiatania? Daj go pan opatentować — piramidalny, bez konkurencyi! — Cudownie się pan do niego pozuje.

Artur (*nieśmiało, zбитy z tropu*). Nie uczyłem się zamiatać.

Säm. To widać.

Artur. W ogóle nie przypuszczałem nigdy, że będę służącym.

Säm. Ach?

Artur. Skończyłem uniwersytet! Ale co dzisiaj komu z nauki? Wiara w siebie, zaufanie we własne siły, oto, co powinien mieć dzisiejszy człowiek — no i silne postanowienie przeprowadzenia wszystkiego, czegokolwiek tylko zapragnie. Jak pan sądzi?

Säm. Naturalnie. Prawdziwy Amerykanin osiąga

zawsze to, co postanowi (*wstaje*). Patrz pan na mnie. Nie uczyłem się niczego. W piętnastym roku zostałem posłańcem w banku bostońskim i powzięłem niezłomne postanowienie zdobycia majątku. W siedemnastym zebrałem wszystkie moje oszczędności i rzuciłem je na giełdę. W przeciągu miesiąca zarobiłem 80,000 dolarów.

Artur (*zdziwiony*). W przeciągu miesiąca.

Säm. W drugim przegrałem je doszczętnie. Wy znalazłem czernidło do butów bez połysku. Zrobiłem majątek. Bez namysłu utopiłem go w akcyach nieprzemakalnej bibuły. Pizepadł doszczętnie! Następnie byłem po kolei: pakierem, portyerem, pucobutem, pogromcą psów, wywoływaczem cudów w budzie jarmacznej, fabrykantem drzew genealogicznych i właścicielem patentowanego biura ogłoszeń świetlnych za pomocą projekcy na chmury. Ale żaden z tych zawodów nie dał mi możności zarobienia pieniędzy, więc zostałem dziennikarzem.

Artur. I powodzi się panu ?

Säm (*siadając*). Nieszczęśliwie. Od trzech miesięcy jestem bez posady. Ale to nic. Nie upadam na duchu – wszystko będzie dobrze.

Artur. Przynać muszę, że pan ma dużo energii.

Säm. To rozmach, panie, sprężystość i wytrwałość. Na razie, dopóki nie znajdę nic lepszego, zadowolę się pańską posadą. Będę służącym.

Artur. Jakto moją posadą?

Säm. Pan odchodzisz przecie.

Artur (*rozpaczliwie*). Ja dopiero przyszedłem.

Säm. A więc to miejsce nie jest wolne?

Artur. Nie!

Säm (*powstając*). Przeklęcie! Co za pech!

Artur. Tu wakuje tylko posada sekretarza redakcyjnego.

Säm. W takim razie obejmę tę posadę!

Artur. Pan?... posadę sekretarza redakcyjnego?

Säm. A cóż w tem nadzwyczajnego?

Artur. Znasz się pan na uprawie ziemi?

Säm. Ani odrobiny, pojęcia nie mam!

Artur. I mimo to, chcesz pan...

Säm. Rozumie się! Dziś o posadę tak trudno, że byłbym szaleńcem, gdybym tej nie chwycił!

Artur. Ależ redaktor zapyta pana o studia, o zasadnicze wiadomości, i zażąda świadectwa... Cóż pan wtedy poczniesz?

Säm. W tem już moja głowa!

Artur. O, z nim nie łatwo dojść do ładu. Zarozumiały, drażliwy, nie znosi najłżejszej krytyki.

Säm. Dziękuję panu (*zmierza ku wyjściu*).

Artur. Odchodzi pan?

Säm. Mam ostatniego dolara w kieszeni. Idę kupić żółte rękawiczki!

Artur (*z najwyższem zdziwieniem*). Żółte rękawiczki?

Säm (*od progu*). Nawet nad brzegiem przepaści trzeba mieć minę zwycięzcy! Nawet bez grosza w kieszeni, trzeba umieć nadać sobie pozory pańskości! Wracam za chwilę (*wychodzi*).

SCENA CZWARTA.

ARTUR, potem Wy-

DAWCA, BOB.

Artur (*patrzy za nim, kiwając głową z politowaniem*).

Szkoda zachodu... szkoda!..

Zaczyna zamiatać na nowo.

Wydawca (*któremu Artur przy zamiataniu rzuca*

cały kłęb śmieci na głowę). Puach!... (lekceważąco)

Pan nawet zamiatać nie umiesz!

Artur. Nie, ja tak... to tylko tego...

Wydawca. Dobrze, dobrze! — Bob wróci, mo-
żesz pan iść na śniadanie.

Artur. Dziękuję (wychodzi).

Wydawca. A teraz do pracy! (siada przy biurku,
przez chwilę słysząc tylko skrzyknięcie pióra; po chwili
wchodzi Bob). Co tam?

Bob. Przyszedł jakiś pan!

Wydawca. Ani chwili spokoju (do Boba). Proś!

Bob (wprowadzając Sämą). Proszę pana (wy-
chodzi).

SCENA PIĄTA.

SÄM, WYDAWCA.

Wydawca. Czego sobie
pan życzy?

Säm. Jestem zapalonym
czytelnikiem pańskiego pi-
sma.

Wydawca (niemile dotknięty — zły). I przycho-
dzisz z zażaleniem...

Säm. Żadnych zażaleń, czcigodny panie — prze-
ciwnie.

Wydawca. Przeciwnie?

Säm. Przychodzę wyrazić panu moje uznanie,
słowa najwyższej pochwały.

Wydawca. Ach?

Säm. Wyznaję otwarcie, że pańskie pismo jest
redagowane bajecznie!

Wydawca. Niechże pan dobrodziej siada, proszę
bardzo.

Säm (rozwalając się na krześle przy biurku). Pań-
skie pismo jest godne podziwienia, fenomenalne!

Wydawca. Pan dobrodziej zbyt łaskaw...

Säm. Nie, czcigodny panie, pańskie pismo jest
mistrzowskie, e-po-ko-we. Wprost epokowe.

Wydawca. Przesada, dobrodzieju, przesada!

Sam. Nie panie! Stwierdzam fakt najoczywistszy.
Mamy mnóstwo organów rolniczych, ale żadne z nich
nie umyło się co do wartości do „Ziemanina Chi-
cagowskiego“.

Wydawca. (zaprzeczając żywo). Ach!

Säm (uderza gwałtownie pięścią w stół). Ani je-
dno, panie — ani jedno! Pańskie pismo jest wzorem
jasności, ścisłości i doskonałości, i to od pierwszej
aż do ostatniej strony.

Wydawca. Jestem faktycznie zawstydzony...

Säm. Nie, pan jesteś skromny, zanadto skromny,
Twierdzę stanowczo, a zdanie moje podziela świat
cały, uznający, że maż który wydaje to pismo, jest
najznakomitszą powagą współczesną.

Wydawca. Panie dobrodzieju...

Säm. Pisarzem pierwszorzędnym...

Wydawca. Och!..

Säm. Geniuszem! To też najgorętszym życze-
niem mojem było poznać znakomitość tej miary, zło-
żyć jej hold i dać upust wyrazom wdzięczności.

Wydawca. Pan mnie psuje naprawdę. Tyle grze-
czności, tyle względów... Chociaż wyznam z głębi
duszy, że pochwała tak kompetentnego znawcy, jak
pan, jest balsamem kojącym, lecz i orzeźwia, bo
droga jest bardzo ciernista! Wielu to ludzi, którzy
o sprawach ziemiaństwa pojęcia nie mają, ośmielało
się mnie rady dawać, ba, nawet krytykować.

Säm. O tak, tak, są i tacy!! Ale to osły! Zo-
stawmy ich w spokoju — niech giną śmiercią zadzu-

mionych (*wstaje*). Ale pan kochany musi mieć niezłe dochody. Tak znakomicie redagowane pismo cieszy się bajecznym nakładem?

Wydawca. Owszem, owszem, robi się, co można.

Säm. Biję pan co najmniej pół miliona egzemplarzy!

Wydawca. Oh... pół miliona...

Säm. Jakto biję pan mniej?

Wydawca. Prawdę powiedziawszy, znacznie mniej.

Säm. Świat się kończy! Gdzież przyczyna tego fenomenu?

Wydawca. Widzi pan dobrodziej, „Ziemianin Chicagowski“ jest właściwie organem fachowym dla specjalistów, więc z samej natury rzeczy ograniczonym jest na szczęście grono czytelników.

Säm (*rozsiada się na biurku*). To nie racya! Pismo takie powinien czytać cały świat! — Jacyż ludzie są głupi!

Wydawca (*wstając*). To prawda, ludzie są głupi, ale trzeba ich brać takimi, jakimi są. Szerszą publiczność interesuje prawie wyłącznie kradzież, kronika policyjna, wiadomości z terenu wojny i skandale towarzyskie, reszta ich nie obchodzi, no a trudno w tygodniku rolniczym zaprowadzić rubrykę mordów i rozbojów.

Säm (*rozwalwszy się na biurku, wysadza nogi na fotel*). Słusznie — mimo to mógłby pan, nie troszcząc się o wiadomości z poza zakresu swojego pisma... ale zastrzegam się, że jeżeli pan nie rad...

Wydawca. Ależ owszem, proszę...

Säm. Przecież pan może znaleźć środki, ażeby obudzić ciekawość ogółu mas. W ten sposób obu-

dziłby pan zaciekawienie dla pisma, a co za tem idzie, jego rozpowszechnienie. Stąd już łatwa droga do majątku.

Wydawca. Tak pan sądzi?

Säm (*zeskakuje z biurka i siada okrakiem na fotelu*). Naturalnie! Parę numerów sensacyjnych, w miarę pikantnych — i dwieście do trzysta tysięcy dolarów w kieszeni. Tak tę rzecz należy poprowadzić.

Wydawca (*z przekonaniem*). Pan ma zupełną rację!

Säm. A widzi pan (*wstając*). Zatem śmiało, kochany panie — trochę sprytu i determinacyi! Przy pańskiej inteligencyi i pilności, powodzenie pewne! Miło mi było poznać pana! (*ściska mu rękę i udaje, że odchodzi*).

Wydawca. Dobrodzieju łaskawy...

Säm (*zatrzymując się*). Czem mogę służyć?

Wydawca. Widzę, że znasz pan dziennikarstwo na wylot.

Säm. Pochlebiam sobie...

Wydawca. Czy nie chciałbyś pan...

Säm. Co takiego?

Wydawca. Pańskie słowa natchnęły mnie myślą uczynienia panu propozycyi, której — błagam — nie chciej mi wziąć za złe!

Säm. Mów pan śmiało!

Wydawca. Uczyni mi pan łaskę i wstąp do redakcyi mojego pisma, jako...

Säm. Mój panie, miałem zaszczyt zwócić panu uwagę już na samym wstępie, że nie przyszedłem tu prosić o posadę.

Wydawca. Wiem, wiem i przepraszam najmoc-

niej. Tak, wiem, że panu na posadzie wcale nie zależy.

Säm. Najzupełniej. Mam znaczny majątek osobisty.

Wydawca. Tak, ale skoro nadarza się sposobność wyświadczenia usługi społeczeństwu, powinny zamilknąć sprawy osobiste... Nie mam śmiałości ofiarować panu posady sekretarza...

Säm. Co? Może służącego?

Wydawca. Nie, nie, broń Boże! Jaki pan dowcipny!... Ale ten dowcip właśnie daje mi nadzieję, że pan nie odrzuci mojej prośby...

Säm. Mów pan śmiało. Słucham spokojnie.

Wydawca. Czy nie chciałbyś pan prowadzić piśma wspólnie ze mną?

Säm. Hm...

Wydawca. Ja będę podpisywał gazetę jako wydawca, a pan jako redaktor naczelny.

Säm. Doprawdy nie wiem...

Wydawca. Wyświadczy mi pan niesłychaną przysługę! Błagam pana!

Säm. No, tak, ale... widzi pan... radbym wiedzieć..

Wydawca. Jaką będzie pańska płaca? Trzysta dolarów miesięcznie.

Säm (*gest nieoczekiwanej radości*). Trzysta dolarów!

Wydawca (*bierze ten gest za wyraz niezadowolenia*). Czterysta!

Säm. Ależ...

Wydawca. Więc sześćset! Więcej nie mogę! Przystaje pan? Zgoda?

Säm. Ażeby panu dać dowód zyczliwości — zgoda.

Wydawca. Dziękuję! Serdecznie dziękuję! Nareszcie znalazłem człowieka, jakiego mi potrzeba. A był już czas, najwyższy czas! Jestem schorowany, wyczerpany kompletnie.

Säm. Wypocznij pan sobie!

Wydawca. O, to, to! Wypocznę bodaj tydzień. Pojadę na wieś niedaleko stąd. A pan zredaguje następny numer?

Säm. Ależ rozumie się!

Wydawca. Proszę niech pan zajmie moje miejsce przy biurku.

Säm. Zrobi się! (*siada na fotelu*).

Wydawca. Artur! Bob!

SCENA SZÓSTA

Wydawca (*do wchodzących*)

CIŻ, ARTUR, BOB.

Od dnia dzisiejszego jest pan...

Säm (*dumnie*). Ja!

Wydawca (*do Säma*). Ale jak się pan nazywa?

Säm. Säm Broockner!

Wydawca. ...Säm Broockner redaktorem naczelnym „Ziemianina Chicagowskiego“!

Artur (*głośno*). On redaktorem naczelnym?

Säm (*do Artura*). A to co za koncept, przyjacielu?

Wydawca (*do Artura*). Tak, co to za koncept!? Co za ton? Chcesz pan znowu krytykować? Pamiętaj pan, co panu powiedziałem!

Artur. Ależ ja...

Wydawca (*do Säma*). Ten człowiek jest wiecznym malkontentem. Jeżeli się poważy wtykać nos do nieswoich rzeczy, wypędź go pan jak psa. Proszę pana o to! (*Do Artura*). Zrozumiano?

Artur. Zrozumiano.

Wydawca (*do Sämä*). Zostawiam pana na gospodarstwie samego, kochany, drogi mój redaktorze naczelny! Rób pan, co panu rozum dyktuje, aby było tylko dobrze.

Säm (*wykłada nogi na biurko*). Jedź pan spokojnie, wszystko będzie dobrze.

Kurtyna.

AKT II.

Dekoracja ta sama, co w poprzednim akcie.

SCENA PIERWSZA. (*Bob śpi na fotelu przy*

BOB — *za chwilę* JESSIE. *biurku. Jessie wchodzi bokiem.*

Jessie (*uderza ręką o biurko*). Dzień dobry Bobie.

Bob (*budzi się przestraszony; po charakterystycznym bełkocie poznać, że ma prymkę w ustach*). Ach, to panna Jessie! Kiedy pani przyjechała?

Jessie. Przed chwilą... Bob, wyrzuc tę obrzydliwą prymkę z ust.

Bob (*wyjmując*). Dla pani wszystko zrobię.

Jessie. Cóż tam słyhać nowego? Nie zmieniło się nic podczas mego urlopu?

Bob. Ho, ho, i jak się zmieniło. Najpierw przyjął stary służącego. Artur mu na imię — idyota, niedołęga.

Jessie. To wszystko?

Bob. Ale gdzie tam! Potem dostaliśmy redaktora naczelnego. Dla kogo on jest naczelnikiem, nie wiem, bo przecie całą gazetę układa, tak jak i przedtem, Watson.

Jessie. A jak wygląda ten naczelny? Jak mu na imię? Ładny?

Bob. Nazywa się Säm Broockner. Wspaniały chłop, jak malowanie! A mądry — nie w ciemie bity. I ruchliwy, strasznie ruchliwy. Nigdy nie zapomni języka w gębie, z każdego kłopotu się wywinie! Ten sobie da radę w świecie! Strasznie go lubię, szalenie mi się podobał!

Jessie (*stronniczo*). To zaszczyt dla niego.

Bob. A jak się zna na rolnictwie — jak stary wyjadacz! Ten idyota Artur powiada, że on nic nie umie, ale ja widziałem go przy robocie. Jak pani myśli, panno Jessie, ile czasu nasz stary potrzebował, ażeby ułożyć jedną gazetę?

Jessie. Najmniej pięć dni.

Bob. A wiele się namęczył, napocił, wiele leksykonów przerzucił, wiele powywracał książek, zliczyć nie można! A ten — wie pani, jak długo robił caluteńki numer? — Niespełna trzy godziny.

Jessie. To zdumiewające!

Bob. I to był pierwszy numer, który on zrobił? Inne zrobi jeszcze prędzej! I żeby bodaj wziął do ręki leksykon, żeby popatrzeć na książkę — nic — tylko siadł przy biurku (*czyni to*), wyjął papierosa (*bierze z pudełka leżące na biurku papierosy*), zapalił (*czyni to*), chwycił pióro w garść i szu — szu — szu pisał, aż się kurzyło! Ani razu się nie namyślił, na wet w głowę się nie poskrobał! (*Udaje, że pisze*) Szu — szu — szu i koniec.

SCENA DRUGA.
CIŻ — SÄM.

Säm (wchodzi, a widząc Boba, leżącego przy biurku, mówi:) Proszę, proszę, panie

Bob, proszę się nie żenować!

Bob (zrywając się). Pan redaktor naczelny będzie laskaw...

Säm. Rzucisz ty cygaro! (wrywa mu papierosa — Bob w zamian chce włożyć prymkę do ust. Säm wyrwy mu prymkę). I to świństwo także — a teraz uważaj! Numer opuścił w tej chwili prasę, Artur zajęty ekspedycją, więc ty siądziesz na rower, przejedziesz się po mieście i dasz mi znać, jak idzie sprzedaż pojedyncza, to jest po kioskach i na ulicy, Zrozumiano?

Bob. All right! (wybiega).

Säm (zwracając się do Jessie). Pani...

Jessie. Jestem pisarką na maszynie...

Säm. Ach, panna Jessie! Pani powraca z urlopu?

Jessie. Tak, wróciłam przed godziną.

Säm. Miło mi poznać panią.

Jessie. I mnie pana, panie redaktorze. Bob jest oczarowany panem. Kocha się w panu na zabój.

Säm (z galanterją). Wolałbym to usłyszeć od pani.

Jessie (zażenowana). Ach, panie Broockner! (Pauza — nagle). Idę do kancelaryi ustawić maszynę pisarską. Jeżeli mnie pan będzie potrzebował...

Säm. Będę potrzebował... (Znacząco). Mam nadzieję, że zapotrzebowanie będzie wzajemne.

Jessie (dyga). Moje uszanowanie! (wychodzi na lewo).

Säm. Zgrabny bąk! (Spastrzega na biurku pełno kurzu) Ach... co tu kurzu! (dzwoni wściekły — wchodzi Artur).

SCENA TRZECIA.
SÄM — ARTUR.

(Artur ma kilkanaście egzemplarzy świeżego „Ziemiannina“ pod pachą).

Säm. Słuchajno pan! Czy się pan nigdy nie nauczył czystości?

Artur. Do wycierania cudzych kątów nie jestem stworzony, uczyłem się czego innego.

Säm. Tę pieśń słyszę codziennie, mógłbyś już zacząć inną. Patrz pan na mnie. I ja nie byłem stworzony na redaktora gazety rolniczej, a jednak dałem sobie radę. Spróbuj pan tak samo.

Artur. Będę się starał... Pierwszy nakład z drukarni.

Säm. Daj pan! — A to guzdrała! (wrywa mu z rąk jeden egzemplarz, siada, przegląda pospiesznie).

Artur (odchodząc, przegląda także jeden egzemplarz przy drzwiach). Cha, cha, cha!... O jej!...

Säm (odwraca się szybko, patrząc ostro). Coś pan powiedział?

Artur. Ja? Nic!

Säm. Kłamstwo! — Mówiłeś pan!

Artur. Ani pisałem, słowo honoru!

Säm. Słuchaj pan! Pan rozumie się cokolwiek na rolnictwie — nie wpadły panu w oczy jakie braki, albo błędy? Powiedz pan otwarcie...

Artur (przedziutko). Nie... Nie, panie redaktorze nie zauważyłem błędów — broń Boże!...

Säm (zadowolony). Naprawdę?

Artur. Słowo honoru!

Säm. Dziękuję. Więc sądzi pan, że numer się udał?

Artur. Ten numer jest cudowny, jedyny! (wychodzi środkiem).

SCENA CZWARTA.

SÄM — *potem* JESSIE. Säm (d. s.). To znaczy, że jestem na dobrej drodze!

Z początku myślałem, że nie wybrnę z tarapatów, ale wziąłem się na pazury, no i poszło. Teraz już mam być zapewniony.

Jessie (wchodzi z lewej strony). Maszyna ustawiona. Jeżeli pan redaktor ma jakie listy, proszę dyktować.

Säm. Listy? — do kogo? (Po krótkim namyśle) Właściwie jest jeden list. Proszę panią.

Jessie (wyciąga bloczek papieru i ołówek). Słucham!

Säm (dyktuje). Mam zaszczyt donieść pani listownie...

Jessie (przerywając). Najpierw adres, jeżeli pan łaskaw.

Sam. Adres będzie na końcu. (Dyktuje). Mam zaszczyt donieść pani listownie, bo tę drogę uznaję za wygodniejszą, niż ustne korowody...

Jessie (powtarza). Korowody...

Säm (dyktuje). Że błogosławię przypadek, który mi dał poznać panią...

Jessie (j. w.). Poznać panią...

Säm (j. w.). Jesteś pani prześliczna. (Jessie przestaje pisać). Pisz pani — przecie to nie straszne (dyktuje). Kocham panią i jeżeli pani chce złożyć przyszłość swoją w moje ręce...

Jessie. O, przepraszam, to nie list urzędowy.

Säm. Właśnie, że urzędowy — proszę pisać (dyktuje). W moje ręce, ożenię się z panią natychmiast... Szczerze oddany — Säm Broockner... Tak teraz pani ten list przepisze na maszynie i da go adresatce, a potem przyniesie mi pani odpowiedź!

Jessie (nieśmiało). Któż jest adresatka?

Säm (wstając). Jakto, nie odgadła pani tego?

Jessie (zmieszana bardzo). Ja?

Säm. Pani... Jakaż będzie odpowiedź?

Jessie. Przecież nie mogę ni z tego ni z owego, tak od razu...

Säm. Panno Jessie, jestem człowiekiem zdecydowanym, energicznym i nie lubię tracić czasu na próżno.

Jessie. Widzę to!

Säm. Jestem sam na świecie. Pani mi się podobalaś. Sądzę, że i ja także pani.

Jessie (nieśmiało). Tak.

Säm. Mam pewne stanowisko.

Jessie. Pan dopiero wstąpił...

Säm. To nic... Cieszę się zaufaniem wydawcy. Nakład pisma powiększymy w dwójnasób.

Jessie. Na razie jeszcze gruszki na wierzbie (słychać dzwonek u telefonu).

Säm (przy aparacie). „Ziemiannin Chicagowski“... Tak redaktor... Księgarnia Williamsa i spółki? Tysiąc pięćset egzemplarzy „Ziemiannina“ ponad zwykły nakład? Natychmiast przyszlę! (notuje zamówienie).

Jessie. Tysiąc pięćset egzemplarzy więcej, jak zawsze?!

Säm. Ile brała dotychczas firma Williams i Sp.?

Jessie. Trzy egzemplarze!

Säm. Od dziś będzie brała pięćset razy tyle.
Jessie. Nie do uwierzenia!

SCENA PIĄTA.

CIŻ — BOB.

Bob (wpada zadyszany bez tchu). Ppa...nie redaktorze!

Säm. Jakże idzie? dobrze? co?

Bob. Całe Chicago poruszone. Ludzie wrywają sobie gazetę z rąk do rąk.

Jessie. Niestychane! Zdumiewające!

Säm. A nie mówiłem!

Bob. Jak żyje, nie widziałem jeszcze takiego rajwachu! Roznosiciele gazet powybijali wszystkie szyby w drukarni i przez okna wlażą, aby prędzej dostać gazetę w ręce. Handlarz Jehnson przyjechał z wózkiem i zabrał wszystko, co się tylko zdołało wydrukować. Przejechał galopem po wszystkich ulicach i w pół godziny wysprzedał cały wózek pakunkowy. Całe Chicago wylęgło na ulice. Wszędzie czytają. W tramwajach elektrycznych, w szynkach, w kościołach, w sklepach. Kogo spotkać, trzyma w rękę „Ziemianina“. Subjekci nie obsługują gości, tylko czytają. Goście nie kupują, tylko czytają. A wszyscy ucieszeni i gadają... ale gadaaj!

Säm. Co?

Bob. Że takiego pisma jeszcze nie było... że to coś nadzwyczajnego!

Säm (tryumfująco). No, no, widzi pani! To się nazywa sukces! (Dzwonek u telefonu, Säm roztrąca Boba i Jessie). Miejsca — miejsca! (Przy aparacie). Tak „Ziemianin Chicagowski“... Dla księgarni Arnolda trzy tysiące osiemset egzemplarzy?... Zaraz będą...

Bob (z zachwytem). Trzy tysiące osiemset!

Säm. Bob, weź zamówienie Arnolda i Williamsa

i każ w drukarni natychmiast wyekspedyować. Leć! (Telefon dzwoni — do Boba). Czeka... czekaj... (Bob się zatrzymuje). Księgarnia Petersohna dwanaście tysięcy egzemplarzy!... Niech pani notuje.

Jessie (notuje). Księgarnia Petersohna dwanaście tysięcy egzemplarzy.

Bob (rozpromieniony). Dwanaście tysięcy!

Säm. Bob, załatwisz i to! Leć! (Telefon dzwoni) Czeka!

Bob (w siódmym niebie). Jeszcze zamówienie!

Säm (przy aparacie). Księgarnia na dworcu kolejowym — trzydzieści tysięcy egzemplarzy — niech pani notuje!

Jessie (j. w.). Dworzec kolejowy trzydzieści tysięcy.

Bob. Trzydzieści tysięcy! (Leci do drzwi, dzwonek u telefonu — Bob wraca).

Säm. Czeka!... (Przy aparacie). Księgarnia centralna — sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy — niech pani notuje.

Jessie (j. w.). Centralna — sześćdziesiąt tysięcy...

Bob. Sześćdziesiąt tysięcy! (Wylatuje — przy drzwiach zatrzymuje się nagle; zdawało mu się, że słyszał dzwonek), Nie, to w moim uchu dzwoni (wybiega).

SCENA SZÓSTA.

SÄM, JESSIE.

Säm. I cóż, panno Jessie?

Jessie. Jestem zdumiona, oszołomiona, to przechodzi ludzki rozum!

Säm. Czy moje stanowisko jest wobec tego pewne?

Jessie. Pan ma jakieś czary!

Säm. Chcesz pani być moją?

Jessie. Panie Säm, ja... ja... nie wiem...

Säm. Zobacz pani, co ja zrobię z tego piśmi-
dła, jaki ja stworzę potężny organ! Będzie to coś
olbrzymiego, niebywałego, jak warsztaty Pulmanow-
skie, coś potwornie bajecznego!

Jessie. Pan jesteś prawdziwym królem dzien-
nikarskim.

Säm. Więc chcesz podzielić ze mną tron?

Jessie. Chcę! Podziwiam pana — pan jesteś
geniuszem!

Säm. Może.

SCENA SIÓDMA.

CIŻ — ARTUR (wchodzi). **Säm** (do wchodzącego). Co się stało?

Artur. Jakiś abonent chce mówić z panem re-
daktorem naczelnym.

Jessie. Abonent? Odkąd tu pracuję, nie było
ani jednego abonenta w redakcyi!

Säm. Od dziś będą przychodzili częściej. Od
dziś jesteśmy potęgą, mocarstwem!

Jessie. Odejdę. Nie chcę przeszkadzać.

Säm (gest królewski). Możesz pani odejść. (Jes-
sie wychodzi na lewo. Do Artura). Prosić! Prędszej,
prędszej!... (Artur wychodzi).

SCENA ÓSMA.

SÄM, DŁUGOLETNI ABO- Abonent. Pan jesteś
NENT. nowym redaktorem?

Säm. Do usług.

Abonent. Jestem najstarszym prenumeratorem
waszego pisma. Od lat dwudziestu czytam wasz
tygodnik codziennie i to od deski do deski jak naj-

sumienniej. Ale dziś po raz pierwszy zdecydowałem
się tu osobiście przyjść.

Säm. Szczęśliwy jestem, że zaszczyt pierwszej
wizyty mnie spotyka. Pan będzie łaskaw usiąść
(*Wstrzymuje go*). O nie, szanowny panie! Na tak
mizernym stolku nie pozwolę nigdy!

Abonent. Ależ...

Säm (*taszczy skórzany fotel, stojący pod drzwia-
mi*). Tu na fotelu! Abonent jest przyjacielem pisma,
a przyjaciel powinno się pielęgnować i pieścić. Pan
jesteś abonentem, pielęgnowaj więc pana i pieczęć.
Pozwoli pan stołeczek pod nogi?

Abonent. Ależ panie...

Säm (*porywa stos książek z braku stołeczka i pod-
suwa je pod nogi abonentowi*). Pan zechce zdjąć chust-
kę ze szyi...

Abonent. Zbyteczne...

Säm (*zdejmując mu kapelusz z głowy*). I kape-
lusz także. W przeciwnym razie nabawi się pan przy
wyjściu kataru.

Abonent. Ależ panie...

Säm. Pańskie skrupuły całkiem niepotrzebne.
Najwyższą zasadą redaktora jest pielęgnować i pie-
ścić abonenta, a pan jesteś abonentem. Może pan
raczy napić się czego?

Abonent. Nie, nie, dziękuję.

Säm. Może szklaneczkę grogu?

Abonent. Ależ dziękuję!

Säm. Filiżankę herbaty?

Abonent. Dziękuję!

Säm. Niech się pan nie żenuje! Proszę uważać
ten dom za swój własny.

Abonent. Jestem istotnie wzruszony tylu dowodami uprzejmości pana. To ośmiela mię poniekąd do przedłożenia panu skromnego pytania.

Säm. Jestem cały na usługi. Zamieniam się w słuch.

Abonent. Czy kochany pan prowadził już jakie pismo rolnicze?

Säm. Sześćdziesiąt, panie, co mówię, 63.

Abonent. To być nie może.

Säm. Najniezawodniej! Dwadzieścia w Anglii, trzydzieści w Ameryce, trzynaście w Grenlandyi.

Abonent. W Grenlandyi?!

Säm. Tak panie, w Grenlandyi! O! to urodzajny szmat ziemi!

Abonent. W takim razie masz pan już pewne doświadczenie w gospodarstwie rolniczem.

Säm. Bardzo wielkie doświadczenia!

Abonent. Ja to dzisiaj zmiarkowałem, że bardzo wielkie.

Säm. Zmiarkował pan? Kiedy?

Abonent. Czytając pański wyrób to jest pismo, chciałem powiedzieć!

Säm. Znakomite, co? Sukces niebывały! Ludzie jak szaleni latają.

Abonent. I nie dziwię się temu wcale! Chciałbym pana poprosić tylko o pobieżne wyjaśnienie jednego artykułu.

Säm (*idzie do biurka i siada*). Służę panu!

Abonent. Pan pozwoli? (*rozkłada gazetę*). Oto miejsce (*czyta*). „Rzepy nie powinno się właściwie wrywać, to rujnuje ją doszczętnie. Najlepiej, wydrapawszy się na sam wierzchołek drzewa, wstrzą-

sać konarami tak długo, aż ostatnia spadnie z niego rzepka. To konserwuje owoc na długie lata”.

Säm (*nie drgnąwszy wcale*). Cóż pan w tem widzi niejasnego?

Abonent. Pan jesteś autorem tej notatki?

Säm. Ja — i to sam, wyłącznie sam.

Abonent. Jak się panu zdaje? Co ta notatka jest warta?

Säm. Co warta?

Abonent. Tak, co warta ta zdumiewająca notatka?

Säm (*z dobitnością nieznośszą zaprzeczenia*). To bardzo cenna i mądra rada. Poznałem ją, tę niezwykłą metodę, podczas moich wycieczek...

Abonent W Grenlandyi?

Säm. Tak, po Grenlandyi i Madagaskarze, i wyznać muszę, że niestosowanie tej metody u nas mści się w fatalny sposób na racjonalnej eksploatacyi wosku ziemnego, ukrytego w rzepie! Według mnie, marnują miliony, a nawet setki milionów korcy rzepy tylko dlatego, że ją zrywają jeszcze niedojrzałą.

Abonent. Tak?

Säm. Co do tego niema dwu zdań. Wszelka dyskusya na ten temat jest wykluczona. A tymczasem, gdyby kazano wyleść zwinnemu i lekkiemu chłopcu na drzewo i zwolna potrząsać gałęzie z rzepą.

Abonent. To pana powinno się utracić!

Säm. Mnie?

Abonent. Więc panu się uroiło, że rzepa rośnie na drzewach?

Säm (*zmieszany*). Rzepa na drzewach? Ale skądże, łaskawy panie, któż to utrzymuje? Mówiłem tylko obrazowo, pod przenośną, jako symbol!

Abonent. Tam do dyabła!

Säm. Mojem zdaniem, o rolnictwie nie powinno się i nie wolno pisać językiem zwykłym, codziennym. Rolnictwo ma coś szlachetnego, coś świętego w sobie – ożywia umysł i podnosi serca. O niem można tylko pisać językiem poetów. Zechciej pan porównać Dantego, Szekspira, że nie wspomnę o Platonie, Temistoklesie, Hannibalu i słynnym Nostradamusie...

Abonent (*przerywając niecierpliwie*). Trzymajmy się rzepy, panie, to pewniejszy dla nas teren!

Säm. Trzymajmy się rzepy. Zatem, mówiąc, że rzepę należy wstrząsać, wylazłszy na drzewo, nie utrzymywałem bynajmniej, że rzepa rośnie na drzewie. To allegorya! Czytać, panie, — a czytać, to gruba różnica! Kto umie czytać między wierszami, ten pojmie od razu, jeżeli nie jest zgryźliwym pawianem albo zakutym osłem pociągowym, co pod tą przenośnią rozumiałem, mianowicie, że rzepę trzeba pochwycić za łodygę i trząść, ażeby w owocu zachować jak największą ilość olejnej zawartości wody.

Abonent. Wody? Pan jesteś zwykłym oszustem!

Säm. Ja?

Abonent. Tak, pan! Najczystszej wody oszust! W głowie mi się pomieścić nie chciało, ażeby ktoś śmiał w dobrej wierze tak dworować sobie z publiczności. Myślałem, że to żart, lichy żart, ale ostatecznie żart, który znajdzie usprawiedliwienie w chęci zabawienia publiczności, może w pomyłce drukarskiej. Ale pan tu śmiesz beczelnie wmawiać we mnie... że... Nie, mój panie, wszystko ma swoje granice! Wiek i stanowisko w świecie społecznym powinny

mnie były uchronić od tego; abym się stał zabawką w ręku pańskim i słuchał jego bezdennie głupiej paplaniny.

Säm. Paplaniny? Mojej bezdennie...

Abonent. Milcz pan, bo zapomnę o obowiązkach grzeczności! Pan jesteś hańbą dla „Ziemianna“ i dla prasy! Pan jesteś głupi, jak wół!

Säm (*powstrzymując się z trudem*). Na te dwuznaczne insynuacje nie odpowiem ani słowem. Pan jesteś moim abonentem, a jako abonenta pielęgnuję pana i pieczę.

Abonent. Idź pan do dyabła ze swoim abonentem! Od dziś wypowiadam panu abonament.

Säm. Pan już nie jesteś abonentem?

Abonent. Ani mi się śni!

Säm. Więc czego pan tu jeszcze chce? Co pan ma tu do gadania? Jak pan śmie krytykować to, co w mojej gazecie napisane? Wynos mi się pan do trzystu dyabłów! (*wyrzuca go*).

SCENA DZIEWIĄTA.

SÄM — *po chwili* JESSIE.

Säm. Głupi jak wół...

A to bydlę, osiel jakiś!

Jessie. Poszedł już?...

Czego on chciał?...

Sam. Albo ja wiem!

Jessie. Jakto, pan nie wie?

Säm. Zrozumieć nie mogę, o co się zaperzył. Proszę starego durnia siadać, obsypuję go grzecznościami, cackam się z bałwanem, a on obsypuje mnie obelgami!

Jessie. A to dopiero! I z jakiego powodu?

Säm. Z powodu drobnej różnicy zdań o właściwościach rzepy!

Jessie. Waryat! Dziwak stary! (*Okropny hałas za sceną; słycać przewracanie rzeczy, wybijanie szyb, dzikie okrzyki*)

Säm — **Jessie** (*przerażeni*). Co się tam stało? (*Biegną do drzwi, ale cofają się na widok wpadającego Człowieka z okropnym zarostem*).

SCENA DZIESIĄTA. Człowiek z okropnym zarostem (*wpadając*. — **Czerwona rozczochna czupryna, czerwone amerykańskie brodzisko, bez wąsów, ubranie w nietadzie).**

Przyszedłem — widzicie, że przyszedłem! (*Jednym susem wskakując na biurko, a wyszczerzając zęby i krzywiąc twarz, wodzi straszliwym wzrokiem po obecnych*). Hi! hi! hi!... (*Okropnym głosem*). Nareszcie znajduję pana!

Säm (*drżąc ze strachu*). Czego pan sobie życzysz?

Człowiek. Przedewszystkiem muszę panu oznajmić, że jestem trochę egzaltowany! (*złazi ze stolika*) Moi przyjaciele obawiają się o mnie od dłuższego czasu, ponieważ jestem ciągle zdenerwowany i wzburzony (*lata po scenie, zatrzymuje się, wraca, przewracając meble, rzuca o ziemię wszystkim, cokolwiek mu pod ręce wpadnie; szczególną predylekcyę ma do książek, a ich huk, kiedy na ziemię spadają, sprawia mu prawdziwą rozkosz*). Ja sam bałem się, że lada dzień nadejdzie kryzys. Ale nie nadeszła i już łudziłem się nadzieją wyzdrowienia, gdy wtęm wpada mi w ręce dzisiejszy numer pańskiej gazety. Ledwo rzuciłem okiem na pierwszą stronicę, dostałem stra-

zliwego napadu szału (*rzuca się z rozmachem na skórzany fotel przewraca się z nim do góry nogami i w jednym okamgnieniu wstaje na równe nogi*). Powiedziałem sobie: nadeszła kryzys! Zwaryowałem! Bez ratunku, z kretešem zwaryowałem! Zawyłem, jak pies do księżycy i wybiegłem z domu, ażeby kogoś zabić.

Jessie. Jezus Maryja!

Człowiek. Pokaleczyłem kilkadziesiąt osób, a jednego brzuchacza wcisnąłem w wydrażone dziupło wierzby, gdzie mu wypruję kiszki, gdy będę wracał do domu. Nagle strzeliła mi do głowy myśl, że trzeba przedewszystkiem mieć pewność, czy te niedorzeczne androny, które mi się w pańskiej gazecie przewidziały, są tam rzeczywiście wydrukowane, czy są tylko wytworem mojego chorego mózgu, wypływem rosnącego deliryum? Tę pewność mieć muszę. Proszę czytaj pan (*rzuca Sämowi kilkanaście egzemplarzy jego gazety, Jessie także*). I pani też! (*Dla siebie wyciąga także jeden numer*) O, to ten artykuł — czy to naprawdę wydrukowane? (*Czyta*). „Parmezan jest ptakiem pstrokolorowym. Wychowanie jego wymaga nadzwyczajnej troskliwości...“ (*Przerywając nagle*). To pan napisał? Pan?

Säm. Ja... ja..

Człowiek. Więc czytaj pan dalej sam!

Säm (*drżąc jak listek*). Pan sobie życzy, abym...

Człowiek (*wyjmując rewolwer i mierzy w Sämą*).

Czytaj pan!

Säm (*czyta*). „Klatka, w której parmezan bywa zamykany, musi być codziennie okadzana i wodą kolońską jak najdokładniej zmywana, inaczej ptak dostaje parchów“.

Człowiek. To pański koncept? Pański?

Säm. M...mój...

Człowiek. Czytaj pan dalej! (*mierzy z rewolweru*).

Jessie (*i. w.*). Na miłość Boską... dalej...

Säm (*czyta*). „W zimie, kiedy parmezan wy-
siaduje jaja, musi być klatka starannie ogrzewana.
Temperatura przeciętna 160—170 stopni“.

Człowiek. Wszystko pański pomysł?

Säm. Mój!

Człowiek. Dalej!

Säm (*czyta*). „Niec o dyniach. Ta rubinowa,
o silnym leśnym zapachu i przedziwnym smaku ja-
goda jest w Nowej Funlandyi przez tamtejszą ludność
bardzo ceniona. Jako marmelada jest wyżej sta-
wiana, aniżeli szparag, szczególnie jako nadzieвка
do pieczenia tortów. Wogóle wartość spożywcza
dyni jest tak znakomita, że ta roślina wyrugowała
z gospodarstwa domowego wszelkie inne rośliny
i jagody. A nawet jako karma dla świń jest chętniej
i częściej używana od malin, które okazały się mało
pożywne, a za bardzo lepkie, kleiste. Maliny uży-
wane są teraz tylko do krupników. (*Säm chce przestać
czytać, lecz Człowiek z okropnym zarostem robi gest
rozkazująco groźny. Säm co prędzej czyta dalej*).
Zwyczaj przodków naszych otaczania altan ogro-
dowych krzewami dyni dla zasłonięcia od promieni
słonecznych, został obecnie zaniechany, gdyż badania
naukowe wykazały, że dynia daje znikomo mało
cienia. Przepis robienia doskonałych szynek...“

Człowiek. Dalej...

Säm (*czyta*). „Niejednokrotnie podnoszono cięż-
kie, uzasadnione żale na niewygodny, połączone że

soleniem szynek. Chcąc dać dowód naszej pieczo-
łowitości o dobro ziemian, podajemy po długiej i głę-
bokiej rozwadze, dla położenia tamy tym przykrym,
niewygodnym wypadkom, następującą prostą radę:
Zamiast używanych do tej pory pośladków ze świń
swojskich lądowych, sporządzać szynki z pośladków
świń morskich. Świnie morskie wskutek długiego prze-
bywania w wodzie słonej mają dostateczną zawartość
soli, a mięso nadzwyczaj delikatne i kruche. Uwolnione
w ten sposób od plagi śmierci świnie swojskie można
z pożytkiem używać jako zwierzęta juczne, albo pocią-
gowe. Morska świnia zaś stanie się jedną z najpożyte-
czniejszych ryb słonych“.

Człowiek (*z nieopisanym zachwytem*). Cudowniel
Pięknie! I to rzeczywiście wszystko wydrukowane?

Säm. Wszystko!

Człowiek (*do Jessie*). Naprawdę, pani? I pani
to także czytała?

Jessie. Czytałam.

Człowiek (*ściska w nadmiarze radości obydwie ręce
Säma*). Panie! Pan jesteś moim dobroczyńcą, zbawcą!

Säm. Ja? Ja?

Człowiek. Pan! Jedynie i wyłącznie pan! Panu
zawdzięczam rozum i życie! Bo teraz wiem, że tych
wszystkich niebotycznych idyotyzmów nie porobi-
łem ja. Co więcej, wiem, że jeżeli mój mózg zdołał
wytrzymać lekturę pańskich artykułów, to już ni-
czego niema na świecie, coby go wyprowadziło
z równowagi — żaden kataklizm nie dojedzie mu
końca! Ja nie mam pomieszenia zmysłów! Dzięki,
stokrotne dzięki, szlachetny zbawco — ja nie zwa-
ryowałem! (*Jednym silnym pchnięciem wtrąca Säma
do szafy w ścianie*). Żegnaj mi, Abderyto! (*Do Jessie*).

Żegnaj mi, stokrótka! (*całuje ją kilkakrotnie*). Dzięki, dzięki, ja nie zwaryowałem. (*W nadmiarze radości zaczyna tańczyć Cake-walc w szalonych podrygach i wychodzi*)

SCENA JEDYNASTA. Säm (*wyłazi przerażony i zażenowany ze szafy, po krótkiej chwili jednak odnajduje dawną swobodę i nie opuszcza go już aż do końca kontensans*). A widzi pani! Tego abonenta zadowoliliśmy w zupełności. Wyszedł uszczęśliwiony! Skakał z radości!

Jessie. Cieszył się, że wie, iż nie zwaryował. Ale pan straciłeś rozum.

Säm. Ja.

Jessie. Bo jakże inaczej wytłómaczyć drukowanie takich koszałek-opałek?

Säm. Koszałek? Przesadza pani! (*Czule*). Dzidzi, chodź do mnie!

Jessie. Nie zbliżaj się pan. Pan nie masz piątej kleпки.

Säm. Jesiuchna!

Jessie. Daj mi pan spokój! Daj mi pan spokój! (*wybiega na lewo*).

SCENA DWUNASTA. Säm. Uh, Sämciu — strze-
liłeś baka! (*Drzwi otwierają się*). O jej! Wydawca!
(*siada na krześle przy stoliku z lewej strony*).

Wydawca (*przybity, zmiażdżony*). Otrzymałem pański numer przed godziną na wsi i bez namysłu wsiadłem do pociągu. Ładna historia!

Säm. Co takiego?

Wydawca. W przedpokoju kupa gruzów, szyby powybijane, stolki połamane, rzeczy podarte, stół posiekany, książki poniszczone.

Säm. Wszystko da się naprawić!

Wydawca. A sława mojego pisma, czy także da się naprawić?

Säm. Pańskie pismo nic nie ucierpiało!

Wydawca (*boleśnie*). Pan nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile licha narobiłeś. O, czemużes mnie pan nie przestrzegł, że o rolnictwie nie masz pojęcia! Toż pańskie nieuctwo przechodzi najśmielsze wybryki wyobraźni. W rubryce „Bank kredytowy ziemski“ nawołujesz pan do założenia wylegarni ostryg. W rubryce „Zwierzęta domowe“ polecasz pan jako miłuchne zwierzątko pokojowe nosorożca, bo jest ogromnie zabawny i należy do rodziny kotów a więc zapalczywie łowi myszy.

Säm. To wszystko fraszki!

Wydawca. Fraszki? A pytam się pana, jakie niedorzeczności jeszczebyś pan wymyślił, gdyby przyszło panu drugi numer zredagować? Przepadły moje wakacje, moje wywczasy, moja dobra sława! A teraz proszę pana o jedno. Zejdź pan z moich oczu!

Säm. Wypowiadasz mi pan miejsce?

Wydawca. A jakżeś pan myślał?

Säm. Pan chyba tego nie mówi na seryo?

Wydawca. Człowieku! Czy pan sądzisz, że zostawię kierownictwo mojego pisma ignorantowi podobnego kalibru?

Säm. Pan to mówisz do mnie?

Wydawca. Do pana!

Säm (*wstając*). Jak pan śmiesz obrażać mnie Pan który masz w głowie słomę zamiast mózgu!

Wydawca. Panie!

Säm. Czternaście lat jestem dziennikarzem, ale po raz pierwszy dziś słyszę podobnie płytkie i śmieszne słowa!

Wydawca. Mieszka mi się w głowie. Spadłem z obłoków!

Säm. Drap się pan na nie z powrotem i przewieź trochę swoją słomę w głowie! Skąd panu wpadło do pustego mózgu, że trzeba umieć to, co się w gazecie pisze? Jesteś pan dudek. Pan wiesz, kto układa recenzje o literaturze i sztuce? Idyoci, którzy porządnie pisać nie umieją. Artykuły o giełdzie i operacjach finansowych piszą młokosi, którzy grosza nie mają. O ruchu antialkoholicznym piszą pijacy, o sprawach wojskowych garbaci, ślepi i kulawi. A pisma rolnicze redagują zawsze osły i barany!

Wydawca. Mój panie!

Säm. Kretyni, jak pan. I pan mnie chcesz uczyć, jak się układa gazetę?! Ja to umiem lepiej. Im mniej fachowych wiadomości, im mniej ktoś pisze rzeczowo, tem chętniej bywa czytany i więcej zarabia pieniędzy.

Wydawca. Szczęść panu Boże, zarabiasz pan sobie gdzieindziej — bo ja mam już dosyć pana i pańskich andronów! Wynos się mi pan — rozumiesz pan, wyrzucam pana!

Säm. To będzie trudno, przełaskawy panie! Mnie pan nie wyrzucisz, gdyż wobec tak jaskrawego dowodu krzyczącej niewdzięczności odchodzę dobrowolnie! (*Wydawca wzrusza ramionami*). Panie

łaskawy, czy możesz pan zaprzeczyć, że nie dotrymałem tego, co obiecywałem? Przrzekłem, że pan podwoisz nakład, tymczasem dziś sprzedaliśmy sto tysięcy egzemplarzy. Za dwa tygodnie mielibyśmy pół miliona prenumeratorów!

Wydawca. Pan oszalałeś z kretesem!

Säm. Dotychczasowi prenumeratorzy. możeby odpadli, ta garstka rolników, ale co panu po nich?

Wydawca (*ostupiały*). Co mnie po nich?

Säm. W ich miejsce rozchwytną nasze pismo miliony!

Wydawca. Idyotów!

Säm. A właśnie, bo tylko pismo dla idyotów może liczyć na rozpowszechnienie. Pan chciałeś wydawać pismo pełne rozumu, smaku i taktu, i... zbankrutowałeś. Sensacya, panie, tylko sensacya. Byłbym napisał panu szereg interwiewów, n. p. jakie jest zdanie Duse o uprawie kapusty w Japonii; jak się zapatruje Wilhelm II. na sprawę przyrzadzania pierogów z mięsem; co myśli prezydent Taft o chowie synogarlic na biegunie północnym, i setki, setki innych! Milionerem byłbyś pan został, a tak będziesz dziadem, wymoczkiem cytrynowym! Żal mi pana, ale i wstyd pańskiej głupoty! Bądź pan zdrow, zrobię gdzieindziej miliony!

SCENA TRZYNASTA
CIŻ, ARTUR, PETERSEN.

Artur (*meldując*) Pan Petersen i Sp., księgarnia nakładowa.

Wydawca (*zrozpaczony*). Ten robi skandal! Proś! (*Do Säma, który zabiera się ku wyjścia*). O nie, nie, panie, nawarzyłeś pan piwa, teraz go wypij!
Petersen (*wpuszczony przez Artura idzie do wy-*

dawcy z rozwartemi ramionami). Kochany, drogi przyjacielu, cóż za genialny pomysł — co za kawał nieśmiertelny! Inny byłby ogłaszał: „Dnia tego a tego wydam dodatek humorystyczny“, i byłby od razu zabił ciekawość publiczności. A pan nie walisz w trąby i fanfary! Dajesz cudowną gazetę humorystyczną pod firmą dawnego pisma, niespostrzeżenie, jak gdyby nic — jak gdyby ciebie to nic nie obchodziło. Przepyszny kawał! Publiczność wzięta! Entuzjazm niesłychany!

Wydawca (*słuchał z początku ośłupiały, potem odetchnął z ulgą, ale jeszcze niepewny siebie*). Więc pan sądzisz, że się udało?

Petersen. Bez kawałów, kochany panie, ze mną bez kawałów! Przyszedłem do pana z małą propozycją. Wkładam w ten interes pół miliona dolarów i wydajemy pismo wspólnie. Dobrze? Nazwiemy je „Ziemianin humorystyczny“. Pomyśl pan! Bajeczny tytuł! Ale i ten pański Säm Broockner to przepyszny humorysta. Pseudonim — co?

Säm (*który całą sceną wypełnił niemą grą, występuje naprzód z dumą*). Nie, panie, Amerykanin z krwi i kości.

Kurtyna.

Informacje i objaśnienia.

Urządzenie sceny.

Przy urządzeniu sceny — trzymając się zresztą w ogólnym zarysie podanych przez autora informacji — należy starać się o nadanie jej typowego wyglądu redakcyi małego pisma. A zatem skromny, bez wszelkiego komfortu pokój, którego całe umeblowanie stanowią: z prawej strony, bokiem do widzów ustawione i ku środkowi sceny wysunięte biurko, tak, aby siedzący przy niem miał za sobą okno; przed biurkiem fotel, po przeciwnej stronie biurka krzesło dla interesentów, od strony widzów duży kosz redakcyjny na papiery: z lewej strony, na przodzie sceny, mały stolik z dwoma krzesłami, tak ustawiony, aby Jessie, siedząc przy nim, była twarzą zwrócona wprost do osoby siedzącej przy biurku; w głębi, pod tylną ścianą, z prawej strony drzwi wchodowych, duży, skórą lub ceratą kryty fotel na kółkach, dalej szafa lub półki na książki (encyklopedye i papiery; z lewej przy samych drzwiach, krzesło, w kącie ukośnie ustawiona szafka, z której Artur wyjmuje miotłę, polewaczkę i blachę na śmiecie. W całym pokoju widoczny nieład: na szafach, w kątach, nawet na krzesle przy drzwiach stosy gazet, na samem biurku mnóstwo papierów, gazety, książki, wśród nich przybory do pisanja i duży kałamarz, pudełko z papierosami, aparat telefoniczny, dzwonek. Ściany bądź zupełnie gołe zostawić, bądź też można na nich ewentualnie zawiesić dużą mapę i kilka kartonów z obrazkami z dziedziny rolnictwa. Żadnych dywanów, chodników, portyer lub firanek. Akcja w obu aktach odbywa się w dzień.

Informacje i uwagi dla grających.

WYDAWCA. Mężczyzna około 40-letni o zmęczonym wyrazie twarzy, z przebijającą w ruchach i całym zachowaniu się nerwością. Znać po nim, że i pracą jest przeciążony, i kłopotów ma mnóstwo na głowie; stąd zdenerwowany i drażliwego usposobienia. W pierwszej scenie, dyktując artykuł Jessie, siedzi przy biurku i kartkuje szybko, leżący przed nim leksykon, z którego czerpie natchnienie do artykułu; mówi z pauzami, ważąc w myśli każde słowo. Wobec Artura z początku bardzo uprzejmy, potem objawia rosnące zniecierpliwienie, w końcu wybucha i mówi wzburzonym głosem, latając przytem po pokoju i żywo gestykulując. W rozmowie z Sämem w pierwszej chwili opryskliwy, następnie, ujęty jego pochwałami, staje się uprzedzająco grzeczny, przytem trochę jakby zażenowany, choć widać po jego minie, że pochwały te sprawiają mu wielką przyjemność; bliżej Säma słucha z najlepszą wiarą i głębokim przekonaniem o ich prawdziwości, a sądząc, że znalazł człowieka którego szukał, robi mu w końcu propozycję wstąpienia do redakcyi, w tonie bardzo nieśmiałym i z odcieniem wewnętrznej obawy, czy nie spotka się z odmową. Dobiwszy targu, zaciera z oznaką wielkiego zadowolenia dłonie i przechadzając się żywo po pokoju, robi wrażenie człowieka, który wielki los wygrał; jest ożywiony, uśmiechnięty, ogromnie zadowolony. W drugim akcie zjawia się smutny, zgnębiony i zły, a usposobieniu swemu daje wyraz w rozmowie z Sämem, która powinna być prowadzona w bardzo żywym tempie i gniewnym tonie. — Ubranie w pierwszym akcie marynarkowe, w drugim ponadto palto i mała torebka w rękę.

ARTUR. Lat około 30. Widać po nim na pierwszy rzut oka, że żyje w niedostatku, nawet w nędzy; blady, policzki zapadłe, oczy podsiniałe, postać zgarbiona. Ma na sobie czarny, zniszczony angiel, szczególnie na wszystkie guziki zapięty; gdy wyjmuje z zanadru papiery, odwraca się, aby wydawca nie widział, że jest bez kamizelki; spodnie wystrzępione, kapelusz pomięty i zrudziały ze starości; — bez mankietów, kołnierzyk nie pierwszej czystości, trzewiki powykrzywiane, włosy w zaniedbanu, twarz dawno już nie golona. Wogóle cały jego wygląd zewnętrzny godny pożałowania, świadczy o wielkim niedostatku. Wchodzi nieśmiało i kłaniając się niezgrabnie, zatrzymuje się przy samych drzwiach, poczem w ciągu rozmowy zbliża

się coraz bardziej do biurka; siada na zaproszenie wydawcy. Mówi głosem cichym, z widoczną nieśmiałością i jakby obawą. Dopiero pod wpływem zachęcających słów wydawcy ożywia się się swolna i mówi w tonie mentorskim. Spozrzęglszy, jaki skutek prawily jego słowa, nagle przycicha, głowę wciska w ramiona, siedzi jakby oszołomiony gradem spadających na niego słów jakby oszołomiony gradem spadających na niego słów Wydawcy. Potem wstaje i skłoniwszy się niezgrabnie, zmierza ku wyjściu; tu zatrzymuje się i zwahaniem, mnąc nerwowo kapelusz w rękach, słabym nieśmiałym, pełnym pokornej uległości głosem wspomina o swem okropnem położeniu. Wiadomośc, że może zająć posadę służącego, przyjmuje z oznaką wdzięczności. Scenę po wyjściu Wydawcy wypełnić grą sytuacyjną: Artur otwiera szafę, wyjmuje z niej szczotkę, polewaczkę i blachę na śmiecie, a z miny jego widać, że nie wie, jak się do tego zabrać; ogląda przez chwilę z komiczną nieporadnością wyjęte przybory do zmiatania, potem z determinacją chwyta szczotkę i zaczyna nią niezgrabnie zmiatać, rozrzucając śmiecie na wszystkie strony. W rozmowie z Sämem przebija z jego słów najpierw gorzyc, potem mimowolny podziw dla energii i przedsiębiorczości Säma, w końcu strach, aby nie odebrano mu i tej ważnej posady, jaką zajmuje. W scenie końcowej aktu pierwszego Artur, pod pierwszym wrażeniem wiadomości o redaktorstwie Säma, woła w tonie niepomierne go zdumienia: „On redaktorem naczelnym?“, potem przybiera pokorną minę, ale z oczu jego widać, co myśli o tym dziwnym wypadku. W drugim akcie, po przegłównięciu gazety, wybucha homerycznym śmiechem, ale natychmiast się miarkuje i siłąc się na powagę, odpowiada na pytania Säma, przyczem widać po nim że zadaje sobie gwałt, aby na nowo nie parsknąć śmiechem, i po słowach „ten numer jest cudowny. jedyny“ wybiega szybko, dusząc się od śmiechu, którego wybuch powstrzymuje, zatkawszy sobie dłońmi usta.

SÄM. Młody, niespełna 30-letni, przystojny mężczyzna, z wyrazem energii i męskiej stanowczości w całym zachowaniu się, które cechuje ponadto wielka swoboda i pewność siebie. Głowa do góry podniesiona, ruchy ostre, śmiałe, sposób mówienia stanowczy, dobitny, lecz jednocześnie błagierski. Czuć w nim człowieka który umie sobie w życiu radzić i idzie przez życie przebojem, nie zrażając się żadnymi trudnościami. Twarz starannie ogolona; ubranie najlepiej jasne flanelkowe w kratki lub pasy,

koszula również flanelkowa z wykładanym kołnierzem, krawat fantastyczny, kamizelkę zastępuje szeroki pas szportowy z kieszonkami, spodnie na dole podwiniete, trzewiki szerokie amerykańskie, żółte lub brązowe, kapelusz jasny z szerokimi kryszami. Przy drugim wejściu na scenę (w pierwszym akcie) żółte gładowane rękawiczki. Podczas rozmowy z Wydawcą wyjmuje z kieszeni krótką fajeczkę i zapala ją. Gra musi być bardzo żywa, pełna temperamentu i werwy. W scenie z Wydawcą (1 akt) Säm uderza odrazu w ton protekcyjnalny i zachowuje się w sposób, który Wydawcę formalnie onieśmiela; pewność siebie Săma, swoboda i pewna nonszalancja w jego zachowaniu się, wreszcie komplementy, jakie wypowiada, to wszystko sprawia na Wydawcy wielkie wrażenie; sądzi, że ma Bóg wie kogo przed sobą, i im więcej Säm brnie w błagę, tem większy objawia Wydawca dla niego respekt. W scenie końcowej, gdy Wydawca przedstawia go jako redaktora, Säm przybiera wyniosłą pozę, potem siada, wykiada nogi na biurko i zapala fajeczkę. W scenie z Jessie (II. akt) pełen szarmanteryi. W scenie z Abonentem najpierw przesadnie, grzeczny, potem widać po nim, że z trudnością powstrzymuje się od wyrzucenia go, aż w końcu wybuchu i wypycha go za drzwi wsadziwszy mu na głowę kapelusz i okręciwszy na szyi chustkę. W scenie z Człowiekiem z okropnym zarostem Säm nie na żarty jest przestraszony i nie próbując nawet opierać się jego rozkazom, robi wszystko, co mu on każe; nonsensa swoje czyta prędko, połykając słowa i wciąż zerkając w kierunku wymierzonego ku sobie rewolweru; widać po nim, że najchętniej uciekłby, gdzie pieprz rośnie. W scenie z Wydawcą Säm odzyskuje znów pewność siebie, a z nią czelność. Końcowe słowa sztuki wypowiada z miną tryumfatora i pozą odpowiednią.

CZŁOWIEK Z OKROPNYM ZAROSTEM. Wygląd szaleńca. Czerwone rozwichrzone włosy, taka sama długa broda, bez wąsów, wielkie brwi krzaczyste. Sprawia wrażenie człowieka, który uciekł z zakładu dla obłąkanych. Ubranie w nieładzie: ma na sobie ciemną kurtkę, pod nią kolorową koszulę z wykładanym kołnierzem i olbrzymim jaskrawym krawatem, spodnie skórzane włożone w cholewy od butów, za pasem wielki rewolwer. Wlatuje z gołą głową. Zachowanie waryata; lata po scenie, wszystko roztrąca po drodze, rzuca o ziemię książkami, skacze po krzesłach i stołach, przytem wydaje ze siebie nieludzkie okrzyki lub śmieje się, jak potępieniec. W ogóle grać tę rolę trzeba z ogromnem

życiem i nerwem. Sposób mówienia szybki, bardzo głośny, ilustrowany przytem odpowiednią gestykulacją i mimiką.

DLUGOLETNI ABONENT. Człowiek w starszym wieku, szpakowaty już, poważny, twarz gładko wygolona. Z początku mówi spokojnie, potem z gniewem, który coraz bardziej się w nim potęguje. Scenę, w której go Säm wyrzuca, tak sytuacyjnie odtworzyć, aby Abonent opierał się Sămowi i odbywał drogę do drzwi w ciągłych obrotach, okręcany w kółko przez Săma. Ubranie angielskie, na niem palto, na szyi kraciasta chustka, na głowie półcylinder, na nogach kalosze.

JESSIE. Młoda, ładna, sympatyczna. Ubrana skromnie: ciemna spodniczka, jasna bluzka, pasek. Uczesanie gładkie, ewentualnie krótko ucięte włosy.

BOB. W średnim wieku, ciemna broda, bez wąsów. Z usposobienia mrukiwy, w obejściu rubaszny, w ruchach niezgrabny. Ciągłe żuje w ustach prymkę. Ubrany w ciemną bluzę, jasne kraciaste spodnie i ciężkie buty. — Można także pojąć tę rolę odmiennie i zagrać Boba jako młodego chłopaka redakcyjnego, o wiusowatym wyglądzie i sposobie zachowania się.

PETERSEN. Około pięćdziesiątki; długie bokobrody, bez wąsów. Ubrany w długi angielski, białą kamizelkę i jasne spodnie. Zachowanie dżentelmeńskie.

Rekwizyta.

Książki, gazety, papiery, przybory do pisania, pudełko z papierosami, aparat telefoniczny, dzwonek, miotła, polewaczka, blacha na śmiecie — na scenę. Bloczek papieru i ołów — dla Jessie. Prymka, depesza, karta wizytowa Artura — dla Boba. Plik papierów, gazety — dla Artura. Żółte rękawiczki, fajeczka — dla Săma. Torebka ręczna — dla Wydawcy. Chustka kraciasta, kalosze dla Abonenta, Rewolwer — dla Człowieka z okropnym zarostem.



63149